

WOJNICKIE LEGENDY

w opracowaniu ks. Jana Królikiewicza

Wojnicz 2013

TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ ZIEMI WOJNICKIEJ

Legendy z Wojnicza i okolic zebrał, i spisał ponad trzydzieści lat temu nieoceniony ks. Jan Królikiewicz. Zostały wydane w 1979 r. przez Oddział PTTK im. Seweryna Goszczyńskiego „Seweryniacy” w Wojniczu, w niewielkim nakładzie w postaci małej książeczki. W 1992 r. powtórzył je w trzecim numerze Zeszytów Wojnickich Jerzy Chumiński. Były też czasami wykorzystywane częściowo lub w całości w innych wydawnictwach. Niestety obecnie są praktycznie niedostępne.

Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Wojnickiej postanowiło wydać ponownie WOJNICKIE LEGENDY w opracowaniu ks. Jana Królikiewicza. Tekst pozostaje niezmieniony z zachowaniem stylu i pisowni autora. Dodane zostały do legend ilustracje, wykonane przez Piotra Kuczka oraz piękna opowieść KAPLICA MATKI BOSKIEJ W WOJNICZU wydana w Drukarni Diecezjalnej w Tarnowie nieznanego autorstwa, a zachowana w odpisie z 1904 r. (przepisana na maszynie w 1948 r.). Opublikował ją Jerzy Chumiński w Zeszytach Wojnickich (ZW nr 3 1992). W opowieści tej odnajdziemy wiele prawdziwych faktów, więc nie jest to typowa legenda, ale ze względu na to, iż wiele mówi o początkach tak lubianej przez wojniczan kaplicy uważamy za słuszne umieszczenie jej w tym wydawnictwie. Tekst przytaczamy w całości i bez zmian z zachowaniem pisowni. Przypominamy również wiersz Zofii Wróbel, który często umieszczał w swoich wydawnictwach ks. Jan Królikiewicz.

Legenda w dosłownym tłumaczeniu z łac. oznacza to, co powinno być przeczytane. I z tym przekonaniem przedstawiamy wszystkim drugie wydanie WOJNICKICH LEGEND w opracowaniu ks. Jana Królikiewicza.

Dla przypomnienia , zwłaszcza młodemu pokoleniu, postaci ks. Jana Królikiewicza, wielkiego społecznika i wojniczanina zamieszczamy na końcu krótki Jego życiorys .

Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Wojnickiej

Wojnicz w legendzie

Wojniczu stary,
Zdradź nam tajemnice
Kto ciebie tutaj tworzył,
Kto znaczył granice.

Może twórcy twoi
Przywędrowali po zburzeniu Troi?
I na pamiątkę ojczystego grodu
Trojnikiem zwali cię za młodu.

Może łużyć plemię
Tu zamieszkało
I ślady swej bytności
W ziemię zakopało.

Może Wiślan woje
Tu wyznaczyli
Stanowisko swoje?
Jedno jest pewne,
Choćbyś szukał wszędy,
Nie znajdziesz metryki -
Lecz tylko legendy.

/Zofia Wróbel/

Kaplica Matki Boskiej w Wojniczu

Cztery mile za Bochnią, a półtorej przed Tarnowem, przy bitym gościńcu, wiodącym do Lwowa, w pobliżu Dunajca leży niewielkie miasto Wojnicz.

Dawniej, jak piszą uczeni- istniał tu od niepamiętnych czasów zamek, w którym mieszkał kasztelan, bo Wojnicz z przyległościami stanowi królewską wszczyznę.

W roku 1655 napadł w bliskości miasta Karol Gustaw, król szwedzki, na Stanisława Lanckorońskiego, hetmana polskiego koronnego, zwyciężył go po krótkiej walce, poczem wojsko kwarciane niegodziwym rycerstwa postępkim przysięga wierność Szwedom. Szwedzi miasto spalili do szczętu, został tylko modrzewiowy kościół św. Leonarda, 1112 r. wystawiony, po dziś dzień stojący, a wokoło miasta zostały okopy, których ślady jeszcze widzieć można. Dzisiejszy kościół farny stanął daleko później.

W południowo-zachodniej stronie miasta wznosi się od niepamiętnych czasów dotychczas, niezbyt wysoki pagórek, pięknie zgrzybiałymi lipami okolony. A jak z pokolenia na pokolenie niesie podanie, ma to być mogiła jakiegoś sławnego rycerza z onych czasów kiedy Szwedzi miasto spalili. Stał na tym pagórku dawniejszymi czasy, między lipami, wielki krzyż kamienny służący za nagrobek owemu rycerzowi. Z krzyża nie ma dziś śladu, a o rycerzu mówi podanie, że go kobiety w tem miejscu pochowały, a zagrabiwszy wszystkie jego bogactwa uciekły do Wielkiej Wsi, o ćwierć mili od Wojnicza leżącej i na ciągnących się tam wzgórkach usypały okopy i zachowawszy się za nie, kamieniami odpierały nieprzyjaciela. Nasypiska te do dziś dnia tam się znajdują, a wzgórze ludzie nazywają Babniją lub Babie okopy.

Na zachodnio-północnej stronie, na tak zwanych Wolicach, stała znowu figurka Matki Boskiej. W tem miejscu miało być małe miasteczko - Zamoście drugie, które się dziś nazywa przedmieściem i wieś Skrzynki. Gdzie dziś leży Wojnicz było Zamoście pierwsze czyli dolne (tamto było górne), a nazwy te mają pochodzić od mostu na Dunajcu. Trzy te miejsciny (dwa

Zamościa i Skrzynki) razem nazywały się Trojnik, który Szwedzi ogniem spustoszyli, a na jego miejscu powstało nowe miasto od wojny Wojniczem nazwane, przedmieścia jednak są dotąd nazwane Zamoście dolne i górne.

Wolice jako osada mała, powstały w późniejszym czasie, a podczas Konfederacji niszczały zupełnie i teraz tylko jeden dom liczą. Dlatego więc przeniesiono figurę Matki Boskiej na tak zwane bory czyli łąki i umieszczono ją przy studziencie loretańskiej, której woda ma być skuteczna na ból oczu. Przy przenoszeniu w roku 1809 utracono figurze przypadkiem głowę i dlatego leżała od tego czasu na Dolnym Zamościu pod płótem, jako rzecz całkiem nieprzydatna.

Pewnego razu idąc koło płotu mały pastuszek z Łysej Góry, wsi oćwierć mili od Wojnicza leżącej, oglądał tę figurę i postanowił jej dorobić głowę. W krótkim czasie, dotrzymując słowa, dorobił kształtną głowę figurze poczem wywieziono figurę do Zamościa Górnego, ustawiono na pagórku tam gdzie się drogi krzyżują. I znowu stała tam czas jakiś, gdy wtem zniknął krzyż z mogiły rycerza, więc Gądziński, bardzo pobożny starszuch postanowił przenieść figurkę Matki Boskiej na pagórek między lipy, żeby służyła owemu rycerzowi, jako nowy nagrobek. Zgodzono się na to chętnie i figura stanęła na nowym miejscu, a ludzie z radością zwracali oczy na nią i często do niej przychodzili. Aby ją chronić od deszczu i śniegu, nakrył ją w roku 1827 nauczyciel wojnicki, Franciszek Tomżyński, drewnianą kapliczką. Odtąd przychodziły tu procesje na św. Marka, a lud do tego miejsca, z taką wiarą i nabożeństwem przyłgnął, że się co wieczór zgromadzał pieśni na cześć Bogu - Rodzicy śpiewając, a osobliwie podczas cholery w r. 1830 i 1849. I dziś spytaj niejednego z Wojnicza o cholere w 1849, a powie ci „O gdyby nie przyczyna Matki Boskiej, nie żyłbym już na świecie”. W roku 1857, Emilia Leńkiewicz, żona naczelnika powiatowego, ofiarowała na okrycie figury ślubną suknię morową, a po roku złożyła na ręce księdza Galińskiego 110 złotych w srebrze na odnowienie figury Najświętszej Marii Panny. Kilku rzeźbiarzy oglądało w tym celu figurę, ale żaden nie chciał jej poprawić, więc ks. proboszcz postanowił odesłać ją do znanego rzeźbiarza Stęchlika w Krakowie, który zgodził się odnowić figurę za 60 zł czemu się niektórzy sprzeciwiali. Tymczasem nastąpiła kilkudniowa burza i figurkę zatrzymano.

Ks. proboszcz zakupił za 100 zł. (reńskich) drzewa na nową kaplicę, zgodził już nawet ludzi do roboty, jednak brakło funduszu. Dlatego ks. Jan Pergiez zbierał składki, które lud dobrowolnie składał i w krótkim czasie kaplica została skończona a brakowało tylko malarzy. W tym czasie przychodzi wędrowny malarz, Jan Heinrich z Diseldorf z Morawy i ten zgodził się do malowania kaplicy. Gdy zobaczył figurkę opowiedział to zdarzenie: „Tego roku chorowałem niebezpiecznie i chorobie widziałem pagórek, a na nim między lipami postać Matki Boskiej z twarzą brzydką i słyszałem głos: Jeżeli mnie odnowisz - ozdrowiejesz. Wyzdrowiałem i puściłem się w podróż. Zaraz na trzeci dzień przybyłem do Galicji, nie znając tego kraju. Gdy teraz widzę tę figurę Matki Boskiej przypomniałem sobie moje widzenie we śnie i podejmuję się ją odnowić i kaplicęomalować.” Te słowa zeznał ów malarz w przytomności kilku świadków.

Stanąła więc kaplica pięknie ozdobiona, kosztująca przeszło 800zł/r. Należy nadmienić, że nawet Żydzi nie żałowali na ten cel pieniędzy, a szczególnie Fraunit, właściciel młyna parowego.

Dnia 9 grudnia 1858 r. odbyło się poświęcenie kaplicy przez ks. dziekana Feliksa Borkowskiego, a nazajutrz przybyła do kaplicy z kościoła farnego procesja, na której było przeszło 5 tysięcy ludzi. Ks. Galiński odprawił tu pierwszą Mszę św. i od tego czasu odprawiają się tu często Msze św. a lud ochotnie odwiedza kaplicę Matki Boskiej, gdzie prawdziwej doznaje pociechy.

Cieszymy się bracia, że na naszej ziemi nie ginie naszych przodków wiara, módlmy się, aby i nam było inaczej.

A kto będzie przechodził przez miasto Wojnicz niech wstąpi do onej kaplicy, a znajdzie tam oprawny arkusz, na którym jest podobna tej opisaney historia figury Matki Boskiej Loretańskiej i kaplicy dla niej wystawionej w r. 1858.

Wojnicz, 3 sierpnia 1904 r.

1045 - 35 Drukarnia Diecezjalna w Tarnowie
Odpisu zgodnego z oryginałem dokonano dnia 31.V.1948 r.

POLSKIE TOWARZYSTWO TURYSTYCZNO-KRAJOZNAWCZE
Oddział im. Seweryna Goszczyńskiego „Seweryniacy”
w Wojniczu

WOJNICKIE LEGENDY

zebrał i opracował JAN KRÓLIKIEWICZ

Wojnicz 1979 r.

Każda stara miejscowość kryje mnóstwo tajemnic i dziwów, tak również legendy posiada Wojnicz. W Większości można znaleźć tylko okruchy tego, co zachowało się w pamięci ludzkiej. Jedna została nawet zapisana w literaturze przez Seweryna Goszczyńskiego w *Dzienniku podróży do Tatrów*, który za Florianem Jaroszewiczem z XVIII w. podaje legendę o wiarołomnych żonach.

Mężowie ich poszli na wyprawę kijowską z Bolesławem Śmiałym i nie wracali do domu, lecz oddawali się rozpuście. Żony pozostałe też nie były lepsze. Z obawy przed zemstą małżonków powracających z wojny, postanowiły bronić się ze swymi kochankami w grodzie. Zwalczo je. Na pamiątkę tej niezwykłej wojny miasto Wojniczem nazwano. Goszczyński tę legendę odnosi raz do Wojnicza to znowu do Panieńskiej Góry w Wielkiej Wsi.

Inne podanie ludowe głosi, że na polach Wolica stała figura „Boża Męka” w miejscu, gdzie był zbudowany klasztor, który z nieznanых powodów zapadł się po ziemię. Po długim czasie chciano go odkopać i natrafiono na łańcuch za który robotnicy poczęli ciągnąć. Jeden z nich zaklął i łańcuch z hukiem zapadł się pod ziemię.

W Dębinie stała karczma żydowska, w której bawiono się hucznie i nie przzerwano zabawy nawet na widok kapłana idącego z Panem Bogiem do konającego. Cała karczma zapadła się pod ziemię, a od czasu do czasu słychać tam dzwony. Podobna sytuacja zdarzyła się w Wielkiej Wsi, gdzie koło starej wierzby przy stawie utopił się syn karczmarza, a miejsce to nazwano Konasyna (kona-umiera syn).

Legenda o św. Stanisławie Szczepanowskim mówi, iż uczęszczał do szkoły w Wojniczu odpoczywając po drodze na Śniadkach, między Biadolinami, a Łoponiem. Tam też wybudowano kapliczkę świętemu z rzeźbą w drzewie jego postaci. Kapliczka istnieje do dnia dzisiejszego.

Według legend kościółek św. Leonarda przyniosła w całości woda dunajcowa z gór. Odmienna wersja twierdzi, że tylko belkę, a jeszcze inna, że obraz.

*Obraz z kapliczki
na ulicy Warszawskiej*



Jak głosi legenda, kapliczka przy ulicy Warszawskiej w Wojniczu została wybudowana celem upamiętnienia tragedii Ojczyzny, jaką był trzeci rozbiór Polski. Tu miał paść ze zmęczenia poseł królewski donoszący obywatelom miasta królewskiego Wojnicza o rozbiorze. Wskazuje na to rzeźba na ołtarzu przedstawiająca trzeci upadek Pana Jezusa oraz obraz Matki Bożej Bolesnej przeszytej mieczem.

W Wojniczu nazwano „spaleniskiem” miejsce, gdzie stała karczma, w której mężczyźni pili całymi tygodniami, tam też nocowali, a kobiety przynosiły im jedzenie z domu. Dochodziło też do bójek, w których obrywano sobie nawzajem kołnierze u koszul.

Na „Piaskach” karczmę prowadził Żyd Josek. Przed nią zatrzymywały się wesela jadące z Biadolin, Łoponia i Podlesia. Starosta pod karczmą śpiewał:

*Jedziemy, jedziemy, dojeżdżamy Piasek
wynieść, że nam wynieść, gorzoteczki Josek*

a uśmiechnięty karczmarz zapraszał w swoje podwoje całe wesele, suto opłacone przez weselników.

Z opowiadań ludzi starszych udało się pięć legend szerzej opracować. W jedną całość zbiera się fakty z różnego czasu i dotyczące różnych pokoleń. Niejednokrotnie musiałem niedopowiedzianą myśl dorzucić do kontekstu, aby uzyskać obraz pełen tajemniczości i nastroju. Tak powstały legendy:

1. O św. Piotrze i Pawle.
2. O skąpym dziedzicu.
3. O Białym koniu.
4. O gradzie.
5. O diabelskim transporcie.

Legenda o św. Piotrze i Pawle



Wyboistą drogą po kamieniach i żwirze, idzie w dół rzeki dwóch pielgrzymów. Każdy z nich niesie na plecach mały tobołek, a w rękach trzymają kije podróżne, które służą do podpierania się w marszu, szukania brodu przez rzeki lub do obrony przed gadami czy też dzikimi zwierzętami. Po chodzie można zauważyć, że jeden z nich jest starszy. Obaj mają brody po pas, a długie ich szaty, przyprószone kurzem wskazują na długą wędrówkę. Droga staje się coraz uciążliwsza i prowadzi niemal pionowo w górę. Tuż u podnóża góry przepływa rzeka Dunajec, a strome zbocza uniemożliwiają przejście brzegami. Zbocza góry porośnięte były wtedy olbrzymimi drzewami. Gdzie okiem sięgnąć, rozciągały się dzikie bory. Gdy podróżni stanęli na szczycie góry, która obecnie nazywa się Panieńską Górą z polany zobaczyli całą okolicę. Srebrzysta rzeka, jak wąż się wiła wśród lasów i polan. Zauważyli unoszący się w dali dym, wskazujący na bliskość osiedli ludzkich. Spodziewali się tam zasłużonego odpoczynku, gdyż uciążliwa wędrówka wyczerpała ich siły. Słońce minęło już zenit, więc pod wieczór spodziewali się dojść do ludzkich osiedli. Droga była i długa, i ciężka. Musieli iść szczytami, gdyż w dolinie czerniły się bagna i rozlewiska rzeki. W pewnym momencie weszli na dużą polanę, z której zobaczyli, że na trzech wzniesieniach leżących w niewielkiej odległości od siebie znajdują się trzy obronne twierdze, otoczone wałami, bagnami, rowami i wąwozami. Najbardziej zaciekało ich to, że słońce jeszcze nie zaszło, a bramy twierdz były zamknięte i mosty zwodzone podniesione. Od pastucha pasącego stado bydła, a pochodzącego z wolnej wsi Zamoście, leżącej poza wałami Grodu, dowiedzieli się, że od dłuższego już czasu, te trzy twierdze walczą między sobą o prymat. Noszą one nazwy: Gród, Skrzynki i Wolice. Całość zaś w powszechnym języku mianowano Trojnikiem. Omijając z daleka ów skłócony Trojnik, polecili jego mieszkańców opiece Pana

swojego, przepowiadając powstanie jednego miasta - Wojnicz. Skierowali swoje kroki na północny zachód mając nadzieję, że uda im się znaleźć odpoczynek w lesie, którego sylwetka rysowała się z daleka na horyzoncie. Wchodząc między drzewa myśleli o odpoczynku na leśnym runie gdyż słońce już zachodziło, a powietrze pogrążyło się w ciemnościach. Noc była ciepła. Księżyc biegł swoim torem w przestworzach. Wtem z oddali usłyszeli głośne narzekania i biadolenie. Skierowali w tym kierunku swoje przyspieszone kroki i po chwili stanęli na leśnej polanie przed lichym, drewnianym domem leśnika. Dom kryty był słomą, okna zakryte skórą zwierzęcą, dym unosił się przez otwór w dachu i szpary prześwitujące między nieszczelnie ułożonymi belkami okien. Stąd właśnie pochodziło owo biadolenie. Podróżni weszli do środka i zobaczyli tam obraz, który wprowadził ich w stan przygnębienia. Oto starzy rodzice narzekali na swój los. Mają dziecko, dużego choć wynędzniałego chłopca. Byłby podporą ich starości, ale jest ślepy. Podróżnych przyjęto jednak życzliwie. Poczęstowano polewką, ugotowaną na ogniu płonącym na środku izby. Ona też się kończyła. Kupcy dawno nie jechali tą drogą, bo Trojnik jest skłócony wojną domową. Okolica niebezpieczna, więc wszyscy omijają ten trakt z daleka. Opowiada stary Kądział (bo tak nazywał się leśnik): „Jest trochę skór z dawnych lat, kiedy to jeszcze mogłem polować, ale ich nie ma kto kupić. Jadło się kończy. Nowe jeszcze nie dojrzało, robić nie ma kto. Ja stary, Sławka, żona też w latach, a Jaremin ślepy. Gdyby dziecko było zdrowe, to opieka byłaby lepsza w naszej starości”. Wtedy odzywa się starszy podróżny: „płakać nam tylko nad waszą dolą, ale mamy i lekarstwo”. Chórem zawołali Kądziałowie: jakie?

-„Miejcie silną wiarę w Krysta Ukrzyżowanego i Zmartwychwstałego, a On was nie opuści”. Słyszając te słowa Sławka zaczęła szeptać dziwne słowa, ale z wiarą i ufnością, która mówiła jej o lepszych dniach tego żywota. Słychać było tylko urywany głos zmieszany ze łzami: Kryste zmiłuj się. Św. Piotr, bo to on był ze św. Pawłem, wyszedł przed dom i wykopał swoją podróżną laską dołek przed do-

mem, z którego wytrysnęła cudowna woda. Obmył tą wodą oczy 20-letniego już Jaremina, mówiąc: „W imię Krysta Pana, przejrzyj”. W tej samej chwili otworzyły się oczy ślepego i z radością chwalił Pana, podróżnych, ścisnął swych rodziców w radości, bo koniec w tym domu z biadoleniem i biedą. Jeszcze jeden cud uczynił św. Piotr: jadła nie ubywało choć wszyscy jedli. Święci przymuszeni, pozostali jakiś czas u tych gościnnych i zacnych ludzi, dając im światło wiary Chrystusowej. Miejscowość tę nazwano Biadoliniami, a na pamiątkę owego cudu pobożny lud wybudował po śmierci wszystkich Kądziałów, tam gdzie stał ich dom, kaplicę ku czci św. apostołów Piotra i Pawła, gdzie umieszczono ich postacie rzeźbione w drewnie. Wojniczanie i ludzie z okolicy ściągają tam tłumnie co roku w dniu 29 czerwca, by oddać cześć św. apostołom. Obmywają oczy cudowną wodą, która tylko w tym dniu zachowuje cudowną moc. Uczestnicy zabierają jedzenie ze sobą i częstują się wzajemnie, aby w tym dniu nikt nie był głodny. Wracając do swoich domów idą lasem zbierając grzyby, których od tego dnia jest bardzo dużo.

Objaśnienia:

Kaplica św. Piotra i Pawła istnieje do dziś na skraju lasu w Biadolinach. Pochodzi z końca XVIII wieku. Figury z XVIII w. rzeźbione w drewnie są odnowione i znajdują się w kościele parafialnym w Biadolinach.

Trojnik - legendarna nazwa Wojnicza powstała w XIX w.

Wojnicz - nazwa pochodzi od wojów - rycerzy - a nie, jak chce Goszczyński od wojen.

Święci apostołowie Piotr i Paweł żyli w I w. n.e., a chrześcijaństwo dotarło do Polski dopiero w X w. n.e.



Legenda o skąpym dziedzicu

Opowiadają starzy ludzie, że kiedyś w dawnych czasach żył bardzo skąpy pan, właściciel posiadłości Zamoście. Nikomu nic dobrego nie zrobił, nikomu nic nie dał. Pilnował swoich gumien, jak oka w głowie. Służba i okoliczni mieszkańcy bali się go, jak zbója Madeja. Gdyby spotkał kogoś na kradzieży, to karał niemiłosiernie. Przed sprzedażą nawilgacał zboże, aby było ciężkie, i aby więcej za niego wziąć. Z tej swojej chytryści i skąpstwa wysechł na pestkę i umarł. Po śmierci codziennie o północy w stodołach i spichrzach otwierały się drzwi, aby zamknąć się z wielkim trzaskiem. Słyszała to służba dworska, sprawdzała czy to nie złodzieje, ale nikogo nie mogli przechwycić. Psy spokojnie chodziły koło gumien. Tak mijały lata. W jedną noc księżycową wyszedł stróż aby obejść dobytek. Zobaczył koło gumien stojącą w bieli postać mężczyzny. Skierował tam swoje kroki. Z daleka zapytał: Kto tu? Usłyszał głos: „To ja, dawny właściciel. Pokutuję już 70 lat za swoje skąpstwo. O, gdyby się kto ulitował i zamówił 7 Mszy to skończyłaby się moja pokuta. W przeciwnym razie pozostaje mi jeszcze 70 lat pokutować”. Po tych słowach zawirowało i postać rozpułyła się w księżycowym blasku, a ów stróż całkowicie posiwiał ze strachu. Opowiedział rano swojemu panu nocną przygodę. Zamówiono Msze św. w kolegiacie św. Wawrzyńca w Wojniczu i od tej chwili ustały nocne stuki w gumnach zamościańskich.



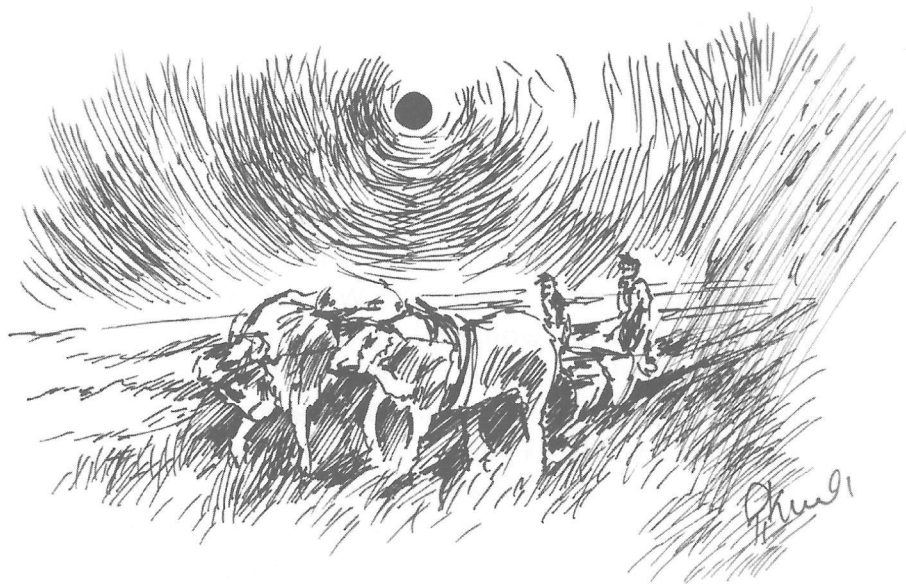


Legenda o białym koniu

Z pobliskiego miasteczka Wojnicza, otoczonego wałami obronnymi, fosami z wodą i stawami, przez zwodzony most, wraca do swojego majątku, do dworu panicz hulaka. Cały dzień spędził w karczmie zajezdnej bawiąc się i pijąc. Przy kieliszku nie obeszło się bez „słonych” żartów i śpiewek. Podochocony piwem i winem jedzie ów panicz na swym siwym koniu do Wielkiej Wsi. Już słońce dawno zaszło za góry i zapadł zmrok, a z nim zapadła gęsta mgła. Miasteczko musiał opuścić przed zachodem słońca, gdyż zamykano bramy wjazdowe. Za bramami miejskimi leżała wioska Zamoście, ze swoim browarem piwa, a opodal stała karczma, którą dzierżawił Żyd. Tu sobie nasz panicz poprawił jeszcze lepiej humor tak, że go przewieszono przez grzbiet siwka. Popędzone zwierzę, znając drogę poniosło go do dworu. Droga prowadziła przez mokradła wąskim przejściem. Po drodze przelatywały nietoperze, z lasu dochodziły pomruki dzikiego zwierza, a z bagien rechotanie żab. Prawie tuż przed dworem zaryczał wilk czy czort jakiś, a koń stanął dęba zrzucając z grzbietu pijanego dziedzica na ziemię tak nieszczęśliwie, że ten zaplątawszy nogę o lancę, z którą się nie rozstawał nigdy w podróży, złamał nogę. Niechybnie poniósłby śmierć w paszczach wilczych, gdyby psy, stróże domostwa, nie odpędziły ich. Ujadanie psów zbudziło cały dwór, przybiegła czeladź. Zorientowano się, że koń był bez jeźdźca. Jeźdźca zaś znaleziono kompletnie pijanego ze złamaną nogą i przyniesiono natychmiast do dworu. Przywieziono z okolicy znachora, który przystąpił do leczenia. Długo trwała kuracja. W czasie choroby panicz uczynił ślub, że gdy wyzdrowieje postawi kapliczkę św. Jerzemu, patronowi rycerzy, gdyż poszkodowany uważał się za rycerza. Po ślubie tym szybko wracał do

zdrowia. Dobre powietrze borów sosnowych pomagało w nabieraniu sił. Również i woda źródłana pomagała w rekonwalescencji. Odzyskawszy zdrowie i siły spełnił ów panicz złożony ślub. W miejscu wypadku postawił kamienną figurę z płaskorzeźbą św. Jerzego, która do dziś istnieje, w nowszej oprawie granitowej, w kształcie kapliczki - kolumny. Panicz lubił się bawić nad stan, dlatego też znowu zaczął planować wyjazd za granicę, gdyż tu na wsi bardzo się nudził. Sposobność wnet się nadarzyła. Gdy dawniej bywał we Włoszech, popadł w konflikt z jakimś Włochem. O konflikty w tych rodzinach nie było trudno. Otóż ten Włoch przysłał pozew naszemu paniczowi z wyzwaniem na pojedynek. Spotkać się mieli na neutralnym terenie w Brazylii. Tam jednak szczęście nie dopisało paniczowi z Wielkiej Wsi. W pojedynku poniósł śmierć. Sprowadzono jego zwłoki do kraju i pochowano w rodzinnym grobie na cmentarzu w Wojniczu. Do Brazylii zabrał też ulubionego konia, o którym wieść zaginęła. Teraz dopiero zaczynają się dzieć dziwy w parku dworskim. Gdy księżyc w pełni, noc jasna, na zegarze wybija północ po dziedzińcu przed dworem rozpoczyna swoje harce biały koń bez jeźdźcy. Gdy ma się ukazać milknie wszelka zwierzyna i ptactwo. Nawet psy nie wyją do księżycy. Zrywa się silny wiatr i wtedy można zobaczyć białego konia. Zjawia trzykrotnie okrąża dziedziniec. Obserwowali to zjawisko stróże nocni. Zauważyli, że skoro niknie koń, co trzy pełnie pojawia się olbrzymia postać człowieka. Chodzi ona koło dworu i figury św. Jerzego, i z powrotem, a wydawszy okropny jęk, znika gdzieś za parkiem. Echo niesie ów jęk do góry. I nie wiadomo, jak długo to by się powtarzało, gdyby nie nowe zjawisko. We dworze była kuźnia, a kowal i pomocnicy kuli konie, i naprawiali sprzęt rolniczy. Pewnego dnia w samo południe, gdy słońce prażyło niemiłosiernie tuż przed samym obiadem, przyjeżdża na białym koniu silny mężczyzna w stroju szlacheckim. Prosi kowali, by mu podkuto konia, gdyż jedzie w daleką drogę i boi się by mu koń nie okulał. Ci zabierają

się bez ociągania do roboty, licząc na dobry napiwek. Majster kując konia tak nieostrożnie uderzył młotkiem w hufnal, że uderzył się w palec i zaklął przy tym. W tym momencie ziemia rozstała się i pochłonięła konia z jeźdźcem. Od tego czasu nikt go więcej nie widział.



Legenda o gradzie

Działo się to w niepamiętnych czasach. Wsią rządził okrutny dziedzic. Kilka razy do roku grad niszczył wszystkie jego plony. Dziedzic ów miał sen. Przez anioła przemówił do niego sam Stwórca. Śpiący usłyszał słowa: „Jeżeli zmienisz postępowanie w stosunku do swoich poddanych, którzy kołaczą do mnie o zmiłowanie, to przestanę cię karać. Próba trwać będzie rok. Po tym czasie przyjdzie do ciebie mój wysłannik i co ci poleci to wykonaj”. Zmienił postępowanie ów dziedzic. Stał się ludzki. Po upływie roku przyszedł do niego pielgrzym w nędznym okryciu. Został przyjęty jak brat. Dziedzic opowiadał mu o klęskach głodowych i o swoim śnie. Pielgrzym daje mu taką radę: znajdź w parku drzewo jesionowe, aby z niego można zrobić pług i bat. Znajdź we dworze lub w wiosce dwa woły bliźniaki i dwóch chłopców bliźniaków. Niech oni w czasie pełni księżyca zrobią z tego jesionu pług i bat, a w czasie nowiu niech wyjdą oborać granice twojej posiadłości i odtąd grad więcej nie będzie niszczył twoich pól. Dziedzic wykonał polecenie pielgrzyma. Od tego czasu grad omijał Wielką Wieś, aż prawie po dzień dzisiejszy. A ów dziedzic do końca życia był łaskawy dla ludzi.



Legenda o diabelskim transporcie

Przed laty, jak głosi legenda, powstała myśl wybudowania zamku w Melsztynie. Głowiono się skąd wziąć kamienie na fundamenty. Odpowiednie do tego celu znaleziono w Górach Świętokrzyskich. Jak je przetransportować? Zwrócono się do czarownic na Łysej Górze, aby pomogły zrealizować ten zamiar. Gdy omówiono wszystkie warunki, spisano umowę na bawolej skórze tej treści:

„My Łysogórskie czarownice zobowiązujemy się do przeniesienia kamieni kwarcowych w rejon budowy zamku melsztyńskiego, angażując do tego naszych pobratymców diabłów z ich hersztem Borutą na czele. W zamian za dostarczony kamień my, czarownice, mamy otrzymać w wieczyste władanie kępy naddunajeckie i dowolnie z nich czerpać wiklinę na miotły potrzebne do naszych lotów. Gdyby choć jeden kamień nie dotarł na miejsce budowy, zrzekamy się jakiegokolwiek wynagrodzenia za wcześniej dostarczone. Termin wykonania w ciągu roku od daty podpisania umowy”. Umowę podpisano w jesieni i opieczętowano. Przystąpiono do realizacji. Ta ciężka praca odbywała się tylko nocą i to w czasie nowiu. Mimo to rosła góra melsztyńska, jak na drożdżach. Właściciel Melsztyna codziennie liczył przyniesione kamienie, które wcześniej opatrzył swoimi znakami, aby żaden z nich nie zginął. Transport szedł drogą powietrzną, z diabelską siłą, w linii prostej z Gór Świętokrzyskich do Melsztyna. Trasa przebiegała 2 km na zachód od wojnickiego rynku. Strach nawet pomyśleć, co działo się w powietrzu? Jaki okropny szum, jakby huragan, ale na dworze ani trawka nie zadrżała. A jaki wielki smród siarki i smoły? Mieszkańcy Wojnicza i okolicy nie wychodzili ze swoich domów ze strachu i nieprzyjemnej woni.

W połowie września następnego roku po bardzo upalnych dniach, czuć było zbliżającą się burzę. Ogromna błyskawica rozdarła wschodnią połąć nieba. Do rzadkości należy takie zjawisko, aby burza nadciągała od wschodu. Zerwał się huraganowy wiatr. Tej nocy nikt nie spał w Wojniczu. Burza połączona z wyładowaniami elektrycznymi napędzała strachu mieszkańcom, jednak wszyscy cieszyli się, że oddychają świeżym powietrzem. Około północy dał się słyszeć straszny huk, bez błyskawicy i nagle zrobiła się cisza. Pokazały się gwiazdy. Kupcy i rzemieślnicy wojniccy zaraz wyruszyli ze swoimi towarami na jarmark do Krakowa. Bramy grodu otworzono, spuszczone mosty zwodzone, a po odjechaniu ostatniej furmanki zamknięto miasto. Droga była wyboista, kałuże po deszczu dość duże, błota jednak było mało, gdyż wyschnięta ziemia nadmiar wody szybko wchłonęła. Burza była straszna, ale stosunkowo mało spadło deszczu. Konie parślały, a woźnice i pasażerowie pojazdów konnych wesoło śpiewali. Tak przejechali Piaski, Wolice, Podlesie i Śniadki zbliżając się do Biadolin. W ciszy minęli kapliczkę św. Stanisława Szczepanowskiego, znajdującą się po lewej stronie traktu i kaplicę św. Piotra i Pawła po prawej stronie, stojącą w pewnej odległości od drogi. Zbliżano się do mostku na rzece Piotrówce, która swój początek bierze ze źródła ocembrowanego przy kaplicy świętych. Konie stanęły, jak wryte i ani po dobroci, ani po złości nie chciały ruszyć dalej. Usłyszano postękiwanie i okropny dał się odczuć smród. Włosy na głowie stanęły dęba wszystkim podróżnym. Nie było innej rady, jak zawrócić do Wojnicza i powiadomić o tym wójta. W tym czasie wójtem był człowiek niepospolitej siły i odwagi. Nadzwyczaj ludzki, spieszący z pomocą wszystkim, którzy tej pomocy potrzebowali. Od dłuższego czasu wojniczanie już wiedzieli o budowie melsztyńskiego zamku i o transporcie kamieni przez diabły na jego budowę. Zaraz też podejrzewano, że w czasie transportu tych kamieni, w związku z tą huraganową burzą, musiał się zdarzyć jakiś diabelski wypadek.

Gdy zbudzono wójta, zaraz się ubrał, od kowala zabrał silne łańcuchy i wyruszył ze śmielszymi parobczakami na wskazane miejsce. Zachowując wszelkie środki ostrożności, stwierdzono, że burza zniosła diablików z ładunkiem kamieni nad kapliczki św. Piotra i Pawła, i św. Stanisława. Tu zachwiała się moc czartowska i transportujący upuścili kamienie. Jeden kamień największy spadł niedaleko kapliczki św. Stanisława. Zarył się w ziemię bardzo głęboko, tylko mu czubek widać. Dwa dalsze spadły na wzgórzu za rzeczką Piotrówką przywalając swoim ciężarem diabła, który je transportował, a za wszelką cenę chciał je utrzymać. Był to dość dobry diablik. Niejedną rzecz zrobił nie po diabelsku, więc miano na niego oko w piekle. Chciał się czymś wykazać. Nie udało się. Leży zemdlony pod kamieniami. Myśli sobie wójt wojnicki: „skoro diabły mają taką siłę, to zakuję go w łańcuchy i będę miał pomoc nie lada”. Oszołomiony uderzeniem diabeł ani wiedział, co go czeka. A wójt zamiar swój zrealizował. Zakuto diabła w łańcuchy, wsadzono na wóz i przewieziono do Wojnicza. Wójt zamknął diabła w swojej sieni i poszedł spać. Po jakimś czasie diabeł przyszedł do siebie. Omdlenie minęło, zerwał łańcuchy i uciekł. W ciągu dnia przychodzą ciekawscy wojniczanie do wójta, aby oglądać zdobycz diabelską, a tu nic, tylko same łańcuchy oblane smołą.

Śmiano się z wójta. Jakiś domorośły „poeta” ułożył wierszyk, a kompozytor dorobił melodię i cały Wojnicz śpiewał:

Ej, u wójtowstwa w sieni,
Ej, diabła uwiązali,
Ej, ale się im urwał,
Ej, bo mu jeść nie dali,
Ej bo mu jeść nie dali,
Ej, do pracy gonić chcieli,
Ej, urwał się im urwał,
Ej, i tak go diabli wzięli.

Później słowa „wójtostwa” zamieniono na „burmistrza”.

Te trzy zgubione kamienie na polach biadolińskich były ostatnimi na ukończenie fundamentów zamku melsztyńskiego. Pan na Melszynie bardzo się zdenerwował, że nie może ukończyć fundamentów z powodu brakujących kamieni. Jest przecież czas nowiu, dlaczego transport kamieni nie przychodzi. Mijały dni, a tu nic. Musiało się coś stać. Brakujące trzy kamienie stanowiły wyrwę w fundamentach, ale można temu zaradzić.

W sercu czuł nawet radość, że umowa z czarownicami została zerwana. Kępy naddunajeckie nie przejdą we władanie czarownic ły-sogórskich.

Diabeł uciekinier z wojnickiego wójtostwa błąkał się po okolicy. Bał się wrócić do piekła. Działy się więc dziwne rzeczy i to dobre. To komuś drzewa narąbał, to trawy ukosił, a zawsze temu, co był słaby lub chory. Czarownice zawzięcie szukały tego diablika i właśnie przy dobrych uczynkach go złapały. Skazały go na karę straszenia w biadolińskim wzgórku za rzeczką Piotrówką.

Ale jaki to był strach? Chodził w okolicy tego wzgórka w różnych postaciach. Widziano go jako dziada, to znów szlachcica, wilka a nawet czarnego kota. Nikomu nic złego nie zrobił, jak widział ludzi to przed nimi uciekał. Lecz nigdy nie wiadomo, co w tym lichu siedzi. Było to przy krakowskim trakcie, bardzo ruchliwym, postanowiono więc skończyć z tymi strachami. Wystawiono na wzgórzu figurę kamienną Matki Boskiej z Dzieciątkiem, na kamiennym słupie. Na tym słupie umieszczono płaskorzeźby z postaciami: na froncie św. Wojciecha i św. Stanisława, od wschodu św. Małgorzaty, od zachodu św. Józefa, a od północy św. Tekli. Posadzono lipy. Pozostawiono te dwa zgubione kamienie na wschodniej i zachodniej stronie figury, które nie dotarły na zamek melsztyński. Do dnia dzisiejszego można je zobaczyć.

Ten zbiorek legend zakończymy sentencją K. Brodzińskiego, która była dawniej napisana na zegarze słonecznym po zachodniej stronie pałacu Dąbskich w Wojniczu:

„Chociaż nie skończysz, ciągle rób.

Ciebie - nie dzieło - porwie grób.

Choć tu dla czynu krótko nas,

Czas wszystko skończy, bo ma czas.”



Ks. Jan Królikiewicz (1927- 1991)

Urodził się 26 stycznia 1927 r. w Wojniczu w rodzinie rzemieślniczej, jako syn Michała i Antoniny z d. Machał. Szkołę podstawową ukończył w 1941 r. Następnie uczył się masarstwa u Jana Krzemińskiego. Równocześnie pobierał nauki na kompletach tajnego nauczania i w lecie 1944 r. złożył przed tajną komisją egzamin z zakresu trzech klas gimnazjalnych. Od czerwca 1944 r. do stycznia 1945 r. pracował przymusowo przy budowie fortyfikacji wzdłuż Dunajca. Zaraz po wojnie, w 1945 r. rozpoczął naukę w Państwowym Liceum i Gimnazjum im. A. Mickiewicza w Tarnowie, filia Mościce. Maturę zdał w I Państwowym Liceum i Gimnazjum im. K. Brodzińskiego w Tarnowie 12 lipca 1946 r.. W tym samym roku wstąpił do Seminarium Duchowego w Kalwarii Zebrzydowskiej. Studia teologiczno - filozoficzne ukończył w Instytucie Teologicznym w Przemyślu. Święcenia kapłańskie otrzymał 25 czerwca 1951 r. Pierwszą pracę duszpasterską - wikariat, otrzymał w 1951 w Tarnoszynie. W sierpniu 1954 r. został mianowany administratorem parafii Machnówek, a w październiku 1961 r. został kooperatorem parafii Lipsko. Zrobił w tych parafiach bardzo wiele i do dzisiaj jest tam bardzo dobrze wspomniany. Miał też kłopoty z ówczesną władzą ludową „ za niewłaściwe postępowanie i wytwarzanie fermentu wśród miejscowego społeczeństwa, a także jawne dyskryminowanie niewierzących”.

Wiosną 1962 r., ze względu na stan zdrowia otrzymał urlop zdrowotny i zamieszkał w rodzinnym Wojniczu. Miał wtedy 35 lat. Tu rozpoczął bardzo aktywną działalność społeczną skupiając wokół siebie liczną grupę mieszkańców. Podejmował różnorodne działania w zakresie popularyzowania miejscowych tradycji historycznych, rozwijał turystykę, organizował wiele ciekawych imprez kulturalnych i rozrywkowych. Był jednym z głównych organizatorów obchodów 900. Wojnicza, podjął inicjatywę umieszczenia na pomniku Niepodległości tablicy upamiętniającej wojniczan poległych w II wojnie światowej, założył Koło PTTK w Wojniczu, stworzył od podstaw Izbę Regionalną, zainicjował Dni Wojnicza, doprowadził do wybudowania wyciągu narciarskiego na Panieńskiej Górze, organizował konferencje regionalne, wystawy, a także niezliczone wycieczki i rajdy zarówno dla młodzieży, jak i dorosłych. Na zapleczu swojego domu stworzył niepowtarzalne „centrum kultury” - stynną „Wojówkę”. Nie sposób wymienić wszystkich Jego poczynąń. Należy pamiętać, że przez wiele lat działał w niezwykle trudnej sytuacji, gdyż jako ksiądz nie był przez ówczesne władze mile widziany i niejednokrotnie musiał usuwać się w cień i niemal ukrywać swoją aktywność. Był natomiast bardzo lubiany i szanowany przez mieszkańców Wojnicza. Zmarł nagle w 65.

